

**Thriller psychologiczny mistrza kryminału**

Grupa trzydziestolatków, przyjaciół ze studiów, co roku wyjeżdża wspólnie ze swoimi rodzinami na wakacje. Tym razem trafiają do zagubionej wśród jezior i lasów agroturystyki w niewielkiej wsi Żmijowisko. Bawią się jak zwykle – odreagowując stres szybkiego wielkomiejskiego życia. Jest alkohol, są narkotyki. A także skrywane od lat urazy, dawne uczucia i wzajemne pretensje.

Podczas jednej z mocno zakrapianych imprez ktoś kogoś prawie topi. Wywiązuje się kłótnia, podczas której otwierają się dawne rany. Następnego dnia córka jednej z par, piętnastoletnia Ada, znika. Pomimo poszukiwań nikomu nie udaje się jej odnaleźć. Rozpływa się w powietrzu.

Rok później jej ojciec wraca do Żmijowiska, by podjąć ostatnią próbę odnalezienia córki. Przez te dwanaście miesięcy znienawidziła go cała Polska. Ale – jak się okazuje – nie wraca tam sam...

*Żmijowisko* to opowieść o tragedii, która niszczy. O rodzinie, która musi stawić czoło próbie przekraczającej ludzkie wyobrażenia. Uczuciach, które trwają pomimo mijających lat i nie niosą pocieszenia. Zdradzie, bólu i miłości. Strachu, zbrodni i karze. O tym, ile jesteśmy w stanie zrobić dla naszych dzieci i jak wiele nas to kosztuje.

cena 39,90 zł

MBP Cieszanów  
Żmijowisko /



0000027515

naszemiasto.

PORTAL  
KRYMINALNY



WOJCIECH  
CHMIELARZ

ŻMIJOWISKO



CHM

WOJCIECH  
CHMIELARZ  
ŻMIJOWISKO

MARGINESY



Liceum mieściło się w przytłaczającym neogotyckim gmachu z czerwonej cegły, do którego z czasem dołączono paskudną kostkę sali gimnastycznej. Przed wojną, kiedy te tereny należały jeszcze do III Rzeszy, podobno znajdował się tutaj szpital. Hitlerowcy z jakiegoś powodu zamordowali pacjentów, czego jednak nie upamiętniono żadną tablicą, bo ci pacjenci byli Niemcami, więc w sumie nikogo to nie obchodziło.

Aktualny humor wychowawczyni klasy Damiana, historyczki Chodzik, starej panny po czterdziestce, zależał od tego, w jakiej fazie związku z kolejnym mężczyzną się znajdowała. Szkolna młodzież ujmowała tę zależność z typową dla tego wieku prostotą, zastanawiając się, czy pani Chodzik jest już wystarczająco dobrze przeruchana czy jeszcze nie.

Nowy rok szkolny rozpoczęli pełni niepokoju. Końcówka poprzedniego była koszmar. Nauczycielka rozstała się ze swoim facetem i w związku z tym szukała tylko okazji, żeby kogoś uwalić. Ponad połowie klasy zdołała obniżyć ocenę. Dobrze, że to jeszcze nie była klasa maturalna, bo wtedy byłoby naprawdę słabo. A tak dało się jakoś przeżyć. Nie pojawiła się na rozpoczęciu, co tylko wzmogło obawy.

Klasa Damiana liczyła trzydzieści jeden osób. Piętnaście dziewczyn i szesnastu chłopaków. Raczej go lubiano, ale nie załapał się do żadnej z tych kilku grup, które się utworzyły. Zawsze trochę z boku, przerwy spędzał zazwyczaj samotnie. A wszystko z powodu miejsca zamieszkania. Żmijowisko znajdowało się w odległości około pięciu kilometrów od przystanku autobusowego, z którego mniej więcej co godzinę, a czasami rzadziej, odjeżdżał autobus do miasteczka, gdzie mieściło się liceum. Dlatego właśnie w zeszłym roku szkolnym Damian tylko raz wziął udział w klasowej imprezie, a codziennie, zaraz po lekcjach, pędził na przystanek, żeby nie przegapić PKS-u. Do szkoły chodził niechętnie, wyraźnie znużony, czując, że to nie jest jego miejsce, że jest tam na doczepkę, a wszystko dzieje się obok niego.

Właściwie to miał rację.

Na pierwszej wrześniowej lekcji wychowawczej siedział w przedostatniej ławce, pod samą ścianą. Przed sobą położył plecak i oparł o niego głowę. Podniósł ją, kiedy drzwi się otworzyły, a razem z Chodzik do klasy weszła dziewczyna. Nigdy wcześniej jej nie widział. Cała była ubrana na czarno, prócz bordowej koszulki z długimi rękawami wystającej spod zwykłego tizerta. Nie umalowała się, czym wyróżniała się na tle wszystkich dziewczyn, które co rano mocowały się z podkładami, maskarami, lakierami i tuszami. Żuła gumę. Ładna dziewczyna, pomyślał, chociaż trochę za gruba i za duża.

– Dzień dobry wszystkim – przywitała się Chodzik i uśmiechnęła się promiennie, po czym wywnioskowali, że przez wakacje jednak zaliczyła romansik, więc jeszcze przez pewien czas będą mieli z górki.

Odpowiedzieli na powitanie.

– To jest Sabina. Sabina przyjechała do nas z Gdańska.

– Z Sopotu – poprawiła ją od razu dziewczyna.

– Z Sopotu – zgodziła się po chwili wahania nauczycielka. – I będzie waszą nową koleżanką. Mam nadzieję, że miło i godnie ją powitacie w społeczności naszej szkoły.

Przyglądali się jej z zainteresowaniem, jak każdej nowej, zastanawiając się, kim jest, skąd się wzięła, do której grupy przystąpi. Nagle zmieniło się ono w konsternację, kiedy zdali sobie sprawę, że to nie oni ją, ale ona ich ocenia. Jej wzrok prześlizgiwał się po twarzach uczniów, każdej poświęcając sekundę, dwie. Robiła w pamięci maleńkie notatki i wrzucała je do odpowiedniego katalogu na twardym dysku w swojej głowie. Damian poczuł niepokój, kiedy zbliżała się do niego, a potem rozczarowanie, kiedy nie zatrzymała się przy nim nawet na moment. Jakby stanowił tylko element tła. Martwy przedmiot.

– Sabino, siadaj tam, obok Paulinki, dobrze?

Ruda i piegowata Paulina planowała zostać weterynarzem i pracować razem z ojcem, którego lecznica obsługiwała największe okoliczne gospodarstwa. Była ładną i zamożną dziewczyną. Miała nawet własny samochód. Sportowe audi tt, co prawda używane, ale i tak robiące wrażenie. Wielu chłopaków chciało z nią chodzić tylko po to, by poprowadzić ten wózek. A ona chętnie zabierała ich na stare lotnisko wojskowe, gdzie pozwalała im kręcić bączki na betonowych płytach. I podobno nie tylko to.

Paulina nie wiedziała w pierwszej chwili, jak zareagować. Życzliwie, ostrożnie czy wrogo. A Sabina, nic sobie z jej mieszczenia nie robiąc, po prostu zajęła wskazane miejsce.

– Aha – powiedziała Chodziki. – Nie wiem, jak jest w Sopocie, ale u nas nie wolno żuć gumy na lekcjach.

Szczęka dziewczyny zatrzymała się w pół ruchu. Sabina wypluła gumę i przez chwilę wydawało się, że po prostu przylepi ją pod blat stołu. Ale nie, wstała, podeszła do kosza i wyrzuciła. A wracając, zapytała beztróskim tonem:

– To pewnie palić u was też nie można?

Pół klasy wybuchło śmiechem.

Już po lekcjach Damian zauważył Sabinę w autobusie. Zajęła miejsce z tyłu. Nie miałby jak się do niej przepchać, nawet gdyby się na to odważył. Obserwował ją ukradkiem. Ona go nie widziała. Siedziała ze słuchawkami na uszach, wpatrzona to w krajobraz za oknem, to w ekran swojego telefonu.

Wysiedli na tym samym przystanku. Objuczona zakupami starsza kobieta pociesznym kaczym chodem potupała w stronę kościoła. Damian przez chwilę nie wiedział, co zrobić. Zostawić tu dziewczynę czy do niej podejść. Ona zaś wydawała się nieświadoma jego obecności. Podchodziła do krawędzi jezdni, rozglądała się to w jedną, to w drugą stronę. Po dwóch minutach, w czasie których Damian czuł się coraz głupiej, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do kogoś.

– No jestem – powiedziała. – A gdzie ty jesteś?

Kiedy usłyszała odpowiedź, jej twarz nieco poczerwieniała.

– Jak to w Sopocie?! Miałeś po mnie przyjechać! Wielkie dzięki za nic!

Rozłączyła się i ze złości kopnęła przystankową wiatę. Metal jęknął przeciągle pod twardą podeszwą głana. Odetchnęła. Sięgnęła do plecaka. Wyjęła z niego paczkę fajek. Kiedy zapalała papierosa, zauważyła wreszcie Damiana.

– Długo tu jesteś? – zapytała opryskliwie.

– Właściwie to nie – skłamał.

– Czekasz na podwózkę?

– Eee... No nie.

– To po co tu stoisz?

Rozpaczliwie próbował wymyślić jakąkolwiek wymówkę, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Mieszkaś w tej agro nad jeziorem? – Dziewczyna wybawiła go z opresji.

– Tak.

– My wybudowaliśmy się niedaleko. Pod samym lasem, Żmijowisko. Wiesz gdzie?

Wiedział. Przez ostatnie pół roku leśną drogą do starej leśniczówki, oddalonej od nich o niecałe dwa kilometry, jeździły samochody z materiałami budowlanymi. Właściwie to byli sąsiadami.

– To ktoś po ciebie przyjedzie? – zapytała. – Przydałaby się podwózka, bo mój stary dał dupy, a na matkę nie można liczyć. Pewnie już leży zachlana.

– Nie.

– No tak. Mówiłeś.

– Zwykle chodzę na piechotę.

– Do Żmijowiska? Przecież to w chuj daleko.

Wzruszył ramionami. Zachłannie dopalała papierosa, jakby chciała natychmiast dostać raka płuc, a nie czekać na niego kolejne dwadzieścia lat.

– To idziesz ze mną? – zapytał.

Wyrzuciła niedopałek. Raz jeszcze spojrzała na drogę, w nadziei, że jakimś magicznym sposobem jej ojciec zdążył wrócić z Sopotu, pokonać prawie dwieście kilometrów kiepskimi drogami w kilkadziesiąt sekund.

– No – powiedziała zrezygnowana.

Szli obok siebie, ale osobno. W bezpiecznej odległości metra, tak że z daleka można by ich wziąć za dwójkę obcych, zupełnie nieznanących się nastolatków. Obojętnie mijali kolejne domy, szczekające przy ogrodzeniach psy, aż wreszcie opuścili ostatnie zabudowania i weszli do lasu.

– Ty jesteś ten, Damian, nie? – zapytała, przerywając ciszę.

– Tak – potwierdził. – A ty Sabina?

– Nie nazywaj mnie tak. Nienawidzę tego imienia. Jest tan-detne i gówniane.

– Przepraszam.

– Możesz na mnie mówić Merigold. Albo Merry, jeśli Merigold jest dla ciebie za trudne.

– Będę mówić Merigold.

– Za to twoje imię jest fajne. Damian. Jak ten chłopaczek z *Omenu*. Widziałeś?

– Tak – skłamał.

– Nową czy starą wersję?

– Obie.

– Która bardziej ci się podobała?

– Ta starsza – powiedział odruchowo, bo nawet on wiedział, że prawidłowa odpowiedź na tego rodzaju pytania jest taka, że pierwsza wersja jest lepsza od drugiej, a książka zawsze lepsza od ekranizacji.

– Jest zajebista – przyznała z uznaniem. – Ten dzieciak był przerażający.

– Był.

Damian lubił te samotne pięciokilometrowe powroty ze szkoły. Prawie nigdy nikogo wtedy nie spotykał. Nikt nie zawracał mu głowy. Mógł pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Ale spacer z Merigold też był fajny. Zorientował się, że odruchowo zwalnia krok, bo ona szła wolniej. I zaczynała łapać zadyszkę. W pewnym momencie się zatrzymała i wyciągnęła kolejnego papierosa. Podsunęła też paczkę Damianowi.

– Chcesz? – zapytała.

Chciał się zgodzić. Bo skoro ona paliła, to on też powinien, ale zaraz się przestraszył, że zrobi coś źle. Zacznie kaszleć albo będzie się nieodpowiednio zaciągać i robi z siebie idiotę. Ona pomyśli, że wziął fajkę tylko po to, żeby zrobić na niej wrażenie, co byłoby przecież prawdą.

– Nie. Nie palę.

Nie skomentowała tego w żaden sposób.

– Dziwnie się tak idzie przez ten las – powiedziała po chwili.

– Dlaczego?

– Bo dziwnie tu jest. Trochę strasznie, nie?

Nie rozumiał, o czym mówiła. Las jak las. Drzewa, krzewy, czasami przez drogę przebiegła sarna. Zerkał na nią od czasu do czasu. Miała fajne cycki. Duże i okrągłe. Wydawało się, że z trudem mieszczą się w jej biustonoszu. Nie tak ładne jak te Pauliny, ale Paulina mogłaby robić za modelkę piersi, nie było w całej szkole faceta (łącznie z nauczycielami), który by do nich nie wzdychał, ale i tak niezłe. Tyłek też niczego sobie. Trochę za szeroki, ale przyjemny. Zastanawiał się, czy ona też go obczaja. A jeśli tak, to co widzi. Zwykłego chłopaka, trochę zbyt szczupłego, zbyt wysokiego, ze zbyt odstającymi uszami i zbyt krótkimi włosami czy jednak może kogoś trochę lepszego.

– Są tu wilki? – zapytała.

– Wilki? – zdziwił się. – Nie. Nie ma żadnych.

– Trochę szkoda. Chciałabym kiedyś spotkać wilka.

– No ja też.

– A zmije? Bo to chyba od nich ta nazwa, nie?

– Pewnie tak. Kiedyś podobno było dużo, ale ja żadnej nie widziałem.

– Kurwa, żal.

Rozmawiali jeszcze trochę, chociaż częściej milczeli. Mimo że nadłożył w ten sposób drogi, odprowadził ją tamtego dnia pod samą furtkę. Potem patrzył, jak wchodzi do domu. Drzwi otworzyła jej jakaś kobieta w szlafroku, która w jednej dłoni trzymała butelkę wina. Merigold minęła ją bez słowa powitania, przy okazji trącając ramieniem. Kobieta zawołała za nią coś, czego Damian nie zrozumiał.

Potem poszedł do siebie. Zjadł obiad. Pomógł w gospodarstwie. Wieczorem, kiedy wreszcie był wolny, siadł do komputera i wszedł na stronę, gdzie streamowano filmy. Poczekał, aż trochę się ściągnie, i po piętnastu minutach zaczął oglądać *Omen*.

Krzysztof wyszedł przed jadalnię, starannie zamykając za sobą drzwi stodoły. Wyciągnął twarz w stronę jasnego wrześnieowego słońca, ciesząc się ciepłem, które rozlało się po jego skórze. Za niedługo przyjdzie jesień, a jesień w Żmijowisku była chłodna i deszczowa. Chociażby w całym kraju świeciło słońce, u nich zawsze mżyło. Ale to dobrze, bo wtedy grzyby rosły jak szalone. Zapaleni grzybiarze już od sierpnia wydzwaniiali z pytaniem, czy już są i ile. Potem wpadali tutaj na weekendy i wieczorem przy nalewce opowiadali sobie nawzajem, jakie znaleźli okazy. Już się cieszył na ich przyjazd. Podciągnął w górę szary tiszert i podrapał się po owłosionym brzuchu.

Na parkingu, obok trzech innych samochodów ostatnich letnich gości pojawił się jeden nowy pojazd. Wielkie czerwone terenowe bmw, którego lakier lśnił pomimo warstwy błota na bokach. Niedaleko stał jego właściciel. Łysawy mężczyzna w niebieskiej koszulce polo i czarnych spodniach. Na stopach miał brązowe mokasy bez skarpetek. Dłonie trzymał w kieszeniach. Rozglądał się dookoła z dużą ciekawością.

Krzysztof pomyślał, że ten człowiek mu się nie podoba. Emanowała od niego taka patologiczna pewność siebie kogoś, kto zawsze bierze to, czego pragnie, i nie ogląda się na innych. A każda próba oporu, drobna przeszkoda to zwykła bezczelność, nieusprawiedliwiony niczym akt wrogości, na który trzeba odpowiedzieć czystą i bezwzględną agresją. Gospodarz agroturystyki spotkał wiele takich osób, kiedy mieszkał jeszcze w Warszawie. Między innymi dlatego opuścił stolicę. W ogóle nie lubił tego miasta, choć tam się urodził i wychował. Zawsze wydawało mu się za ciasne. Zbyt wielu ludzi o zbyt wielkim ego na zbyt małej przestrzeni. Nie dało się tego wszystkiego upchnąć w tak niewielkim i biednym

kraju. Zjadali się więc ci ludzie nawzajem, walczyli, wpychali pod samochody, pociągi metra, podkładali świnie, sprzedawali nawzajem kredyty we frankach i polisolokaty, rżnęli nieswoje żony, rozwodzili i schodzili.

Joasię poznał na studiach. Przyjechała tam do jednej z prywatnych wyższych szkół, gdzie miała zostać jeden rok, a potem po raz kolejny zdawać na СГН. Nie odnalazła się w Warszawie. On tam nigdy nie pasował. Zeszli się szybko. Pamiętał, jak bardzo się denerwował, kiedy kilka miesięcy później, wczesną wiosną po raz pierwszy jechał do Żmijowiska, żeby poznać jej ojca. Ale gdy po wielogodzinnej, męczącej podróży dotarli do celu, poczuł tylko spokój. Głębok, docierający do każdej komórki w jego organizmie. Jakby wreszcie znalazł się w miejscu, gdzie może wziąć głębok wdech. Do dziś nie wiedział, czy bardziej zakochał się w Asi czy w Żmijowisku.

Krzysztof poprawił koszulkę tak, żeby zakrywała mu brzuch, i podciągnął dresowe spodnie. Podszedł do mężczyzny, zastanawiając się, kto to jest i skąd się wziął. Bmw miało miejscowe rejestracje. Wtedy uświadomił sobie, że wielokrotnie widział już ten samochód. Pędził leśną drogą z rykiem silnika do i z leśniczówki, którą przed rokiem kupił tajemniczy biznesmen z Trójmiasta i od miesięcy remontował, zmieniając w luksusową posiadłość.

– Pomóc w czymś? – zapytał Krzysztof, zbliżając się do mężczyzny w niebieskim polo. Gość obrócił się powoli, obrzucił gospodarza badawczym spojrzeniem i uśmiechnął się nieznacznie.

– To pańskie? – odpowiedział pytaniem i zatoczył ręką krąg obejmujący domki, zejście nad jezioro i plażę z pomostem.

– Moje. I teścia.

– Kawał ładnej ziemi.

– No. Nam też się podoba.

Facet podszedł do Krzysztofa i wyciągnął rękę. Mocno, niemal napastliwie uściśnął mu dłoń. Ale gospodarz nie pozostał dłużny.

Z nadwagą mógł wyglądać niepozornie, jednak lata pracy w obejściu sprawiły, że miał krzepę w rękach.

– Kajetan Rybak – przedstawił się mężczyzna.

Pozuje na twardziela, a nazywa się Kajtek, zupełnie jak jakiś pies albo bocian z tej szkolnej czytanki, pomyślał z rozbawieniem Krzysztof.

– Krzysztof Trypa.

– Jesteśmy sąsiadami. To ja kupiłem tę leśniczówkę, tam, w głębi lasu.

– A wiem, wiem... To pan jest ojcem Sabiny, prawda? Miła dziewczyna.

Przez twarz mężczyzny przebiegł krótki nieprzyjemny grymas, jakby z jakiegoś powodu na komplement na temat swojego dziecka chciał zareagować agresją. Ale szybko się opanował.

– Miła, miła, tylko trzeba ją utemperować. Dlatego też przeprowadziliśmy się tutaj – powiedział. – Wielkie miasto to wielkie pokusy, nie każdy dzieciak sobie z nimi radzi.

Krzysztof pokiwał głową ze zrozumieniem. Miał kumpli, których Warszawa poprowadziła ścieżką poprzez modne kluby i głośne imprezy prosto w objęcia heroiny i narkotyczno-alkoholowych deliriów. Niektórzy się z tego podnieśli, inni do dzisiaj leżeli w kałuży własnego moczu i wymiocin. Jeden wybrał ucieczkę za pomocą paska na szyi zawieszzonego na klamce od łazienki.

– No tak. A u nas spokój i cisza – odparł, licząc na to, że facet nie poruszy teraz tej sprawy z Adą. Dalej mówił już bez wielkiego przekonania. – Dobre miejsce, by wychować dzieciaki. My mamy trójkę. Najstarszy, Damian, chodzi przeciw z Sabiną do klasy.

– Wiem. – W głosie Kajetana zabrzmiała nutka zniecierpliwienia, a Krzysztof natychmiast zrozumiał, że mężczyzna nie przyjechał tu ani z sąsiedzką, powitalną wizytą, ani po to, by porozmawiać o dzieciach. – Żona jest?

Kiedy zadawał to pytanie, nachylił się w jego kierunku. Twarz mężczyzny wydała się gospodarzowi nieprzyjemna, jakby ptasia. Prawie łyśa głowa, pokryta paroma włosami na boku, podbródek w kształcie litery V, duży nos i schowane pod czarnymi brwiami oczy. Kojarzył mu się z sępem.

– Pojechała do miasta załatwić jakieś sprawunki.

– A to może i lepiej – stwierdził Kajetan, bezceremonialnie obejmując go ramieniem. – Interes jest do zrobienia. A po co żonę takimi męskimi sprawami zajmować, nie?

– A o co chodzi? – zapytał bez przekonania gospodarz. Nie zamierzał podejmować żadnych decyzji bez pytania żony, a tym bardziej teścia o zdanie, ale mógł się dowiedzieć, czego ten człowiek od nich chce.

– W pięknym miejscu mieszkamy, nie?

– Tak.

– Tam las, tu jezioro, woda czysta, tak że można ją pić. Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Wszędzie tutaj jest rezerwat. A tam – wskazał ręką na drugi brzeg – to pieprzone słowiańskie grodziszczce. W sumie to może nawet dobrze. Dodatkowa atrakcja. Jakiś Biskupin się tu jebnie i będzie pięknie. Tylko przez ten rezerwat nie da się tutaj budować. Fartem udało mi się znaleźć tę leśniczówkę i odkupić od leśnictwa, ale mogłem ją jedynie wyremontować. Nic więcej. Tyle się tutaj terenu marnuje. Tyle pieniędzy. Bo wie pan, kiedyś to ludzie do Egiptu jeździli, ale przestali. Brudasom odbiło i zaczęli ludziom łby odcinać albo po plażach z siekierami ganiać. I dobrze. To wszyscy pojechali nad Bałtyk. Ale tam drogo, ciasno i nie oszukujmy się – chujowo. A tutaj piękne jezioro, niedaleko rzeczka, kajaczki. W mieście robi się jakiś festiwal disco polo, już zresztą gadałem o tym z władzami, załatwiamy wszystko, i możemy trzepać kasę, jak Żydzi na wódce.

Krzysztof kiwał głową, nie do końca rozumiejąc, do czego dąży mężczyzna.

– Tylko w jednym miejscu tutaj nie ma rezerwatu i można budować – kontynuował Kajetan. – U was. Macie kawał terenu, gdzie można stawiać wszystko. A wy co? Pierdolnęliście tutaj ledwo parę domków.

Krzysztof wyswobodził się z uścisku mężczyzny i spojrzał na niego spođe łba.

– Panie Krzysztofie, pan się nie denerwuje. Ja to szanuję. Agroturystyka świetny pomysł. Szczególnie jeśli kapitału zabrakło. Ale jaki to stracony potencjał. W sezonie pewnie obłożenie pełne... Chociaż po zaginięciu tej dziewczyny to nie wiadomo...

Kiedy poruszył kwestię Ady, gospodarz chciał się odwrócić i odejść, ale Kajetan chwycił go za ramię stanowczym gestem i przytrzymał.

– Ile teraz jest gości? Trzy samochody widzę. Trzy rodziny. Na ile pokoi? A co będzie później? Pewnie w październiku jacyś grzybiarze przyjadą i to będzie, kurwa, koniec na ten rok. Nie mam racji? Nie mam?

Miał. Od jesieni do późnej wiosny wszystko to stało puste i niszczało, tak że w marcu, kwietniu musieli robić remont, by w maju przyjąć pierwszych gości. Czasami tylko udało się w ziemie wynająć stodołę na wesele. Ale więcej było roboty niż pieniędzy.

Krzysztof szarpnął się, by się wyswobodzić, ale mężczyzna sam go puścił. Gospodarz zatoczył się o dwa kroki w tył.

– Pan ma ziemię, panie Krzysztofie – mówił, a oczy mu błyszczały. – A ja kapitał. Postawimy u pana śliczny ośrodek. Całoroczne SPA na około sto miejsc noclegowych. Latem atrakcje dla rodzin z dziećmi. Jesienią niech przyjadą ci grzybiarze plus konferencje biznesowe. Cały czas trzepiemy wesela, wyjazdy integracyjne, przyjęcia. Widzę, że pana zaciekawiłem, co?

Krzysztof poczuł, że znowu robi mu się ciasno. Jakby wrócił do Warszawy i jechał wagonem metra w godzinach szczytu. Przygryzł wargę. Chciał sięgnąć po telefon, zadzwonić do żony i zapytać o radę, ale zaraz pomyślał sobie, że przecież z jej rad nic dobrego nie przychodziło. To ona nalegała na te kredyty, przez co teraz tkwili w długach. A on tu musiał wszystko jakoś połączyć. Zresztą teraz, parę tygodni przed porodem, tylko o tym mówiła i myślała.

– No, zaciekawił pan – przyznał, robiąc wszystko, żeby jego głos brzmiał mocno i zdecydowanie.

Mężczyzna pokiwał głową zadowolony.

– Przejdziemy się? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, poszedł przed siebie. Krzysztof ruszył za nim. Zrównali się po kilku metrach. Doszli do skarpy, z której prowadziła ścieżka nad jezioro.

– Trzeba będzie wyburzyć pomost i zbudować dłuższy – Rybak wskazał palcem drewnianą konstrukcję – żeby zmieściło się więcej kajaków, może jakieś żaglówki. Tutaj można pływać żaglówkami?

– Nie wiem.

– Ale kajaczkami, widziałem, pływacie?

– Mamy dwa.

– To żaglówki też się załatwi – wymruczał Kajetan bardziej do siebie niż do gospodarza. – Tylko te zwierzaki...

– Słucham?

– Trzeba będzie oddać do rzeźnika czy do schroniska. Jak tam sobie chcecie, mnie to lata i powiewa. Wie pan, panie Krzysztofie, ludzie przyjeżdżają do takiego ośrodka i chcą być blisko natury. Ale takiej czystej i higienicznej, z trzema posiłkami dziennie i alkoholem serwowanym w barze. Brudna koza tutaj nie pasuje. No ale może jakieś minizoo dla dzieciaków się zbuduje, żeby tam latały i nie męczyły rodziców. I tutaj muszę pana pochwalić, animacja dla dzieciarni to świetny pomysł. Strzał w dziesiątkę. O niczym

innym rodzice nie marzą na urlopie, jak oddać pod opiekę swoje dziecko komuś innemu i przez dwa tygodnie go nie oglądać.

Kajetan odetchnął głęboko, wyraźnie zadowolony z wygłoszonego właśnie wykładu.

– Aha – rzucił, przypominając sobie coś ważnego. – I tę waszą chałupę to koniecznie trzeba będzie wyburzyć. – Roześmiał się, widząc twarz Krzysztofa. – Pan się nie martwi, panie Krzysztofie. Za kasę, jaką zarobicie, wybudujecie sobie ładny dom w miasteczku. Większy i wygodniejszy od tej rudery. Wszystkie wasze dzieciaki będą miały własne pokoje.

Znowu trafił w sedno, co zaczęło się robić niepokojące. Ile ten człowiek faktycznie o nich wiedział? Od kiedy zamieszkali tu z Joasią, stopniowo tracili przestrzeń mieszkalną na użytek dzieci. Teraz, już w piątkę, obijali się o siebie nieustannie. Damian dzielił pokój z siostrą, z czego wynikały same problemy. On był już nastolatkiem, ona zaczynała wchodzić w ten trudny wiek. Kiedy pojawi się nowy dzieciak, najpierw będzie miał łóżeczko w małżeńskiej sypialni, ale co potem? Zadowolony mógł być tylko teść, który zaanektował dla siebie cały pokój i zamykał się w nim na długie godziny. Krzysztofa niepokoiło również to, że Kajetan przechadzał się po terenie, jakby już ubili interes, jakby to wszystko należało, przynajmniej w części, do niego.

– Mógłbym spróbować jakoś pana wyruchać – odezwał się Rybak. – Pokręcić, pokombinować. Może nawet kupić tę ziemię taniej, bo co tu dużo mówić, po zaginięciu dziewczyny może być wam ciężko... – Zawiesił głos. – Trudno będzie ściągnąć rodziny na letni wypoczynek do miejsca, gdzie wydarzyła się taka tragedia.

– Poradzimy sobie.

– Takie newsy szybko się roznoszą po internecie – dodał Kajetan. – Kiepska reklama. Ciężko wam będzie.

– Poradzimy sobie – powtórzył Krzysztof, ale już z mniejszą pewnością siebie. Do tej pory skutecznie unikał myślenia o tym, jak



zaginięcie Ady wpłynie na przyszłoroczny sezon. Liczył się z tym, że kilka osób, które do tej pory do nich regularnie przyjeżdżało, zrezygnuje. Może obłożenie będzie odrobinę mniejsze niż do tej pory, ale nie spodziewał się katastrofy. Teraz po raz pierwszy przed oczami stanął mu czarny scenariusz, kiedy nie przyjedzie do nich nikt.

– Tak jak mówiłem, mógłbym mydlić panu oczy, ale przychodzę jak biznesmen do biznesmena. Z sercem na dłoni. Pan widzi, ja nie jestem byle ciołkiem. W Trójmieście miałem parę knajp i dwa hotele. Hotele sprzedawałem, ale knajpy dalej działają. Pan sobie może sprawdzić w internecie. Teraz jestem człowiekiem z wizją, proszę pana. Ja tu chcę zrobić coś dużego. Obaj możemy na tym zarobić. – Klepnął go w ramię. – Pan to sobie przemyśli i jakoś się umówimy. Siądziemy sobie kiedyś w miłych okolicznościach, napijemy wódeczki i uzgodnimy szczegóły. A teraz miłego dnia życzę.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni pilota do samochodu. Nacisnął przycisk i czerwone bmw zamrugało pomarańczowymi światłami.

Krzysztof uderzył się otwartą dłonią w kark, miażdżąc jednego z ostatnich tego lata komarów. A potem zamknął oczy. Pod przykniętymi powiekami ujrzał elegancki biały ośrodek, eleganckich ludzi relaksujących się w hotelowym jacuzzi, a wreszcie siebie samego, wysiadającego z takiego samego bmw, jakim odjechał przed chwilą Kajetan.

Podobała mu się ta wizja.

### 3

Trudno uwierzyć, jak w mieszkaniu potrafi być cicho. Takim zwykłym, w starym budynku na warszawskim blokowisku, gdzie ulicą obok jeżdżą samochody, sąsiedzi puszczejają głośno muzykę i zawsze ktoś z góry lub dołu robi remont.

Kiedyś to wszystko jej przeszkadzało. Każdy taki hałas traktowała, jakby to było niemalże włamanie, naruszenie osobistej przestrzeni, brutalne wtargnięcie w przyciasny, ale miły kokon, który utkała swojej rodzinie. Broniła się przed tym tak, jak potrafiła. Włączała radio, telewizję, teledyski na YouTubie. Robiła wszystko, by odciąć ich od tego, co na zewnątrz, by zostało tylko to, co w środku, co ich własne i znane. Klóciła się o to z Arkiem. On chodził od pokoju do pokoju, po kolei wyłączając każde urządzenie.

– Wróciłem z roboty, chciałem chociaż przez chwilę, przez chwilę, odpocząć w ciszy.

Chciała zaśmiać mu się w twarz. O jakiej ciszy można mówić, kiedy banda dzieciaków na dworze odbija piłkę o ścianę budynku, pomimo wyraźnie namalowanego żółtą farbą na asfalcie napisu „Zakaz gry w piłkę”?

– Czyli wolisz słuchać tego, co puszcza sąsiad, zamiast tego, co puszcza ja?!

– Chryste! – jęknął, chwytając się za głowę. – Myślałem, że to z Adą będą takie problemy! Ale ona nawet wie, że wypada używać, kurwa, słuchawek!

– Nie przeklinaj w moim domu.

– Niby dlaczego?! Wreszcie mogę, przynajmniej przez moment. Ada nic nie słyszy, ciebie to nie zgorszy, a Ignaś nic nie rozumie!

Przerodziło się to wtedy w kolejną kłótnię. Teraz Kamila przyznawała mu rację. Cisza sama przychodziła do człowieka, jeśli tylko jej pozwolić. Opadała miękko lawiną, miażdżyła swoim ciężarem, więziła w słodkim bezruchu. Wystarczyło nic nie robić. Po prostu czekać cierpliwie. Więc czekała. Zwinięta w kłębek na fotelu w dużym pokoju, z kubkiem zimnej herbaty w dłoni, wpatrzona w białą ścianę przed sobą. Z pękniętym sercem i łzami wiecznicie zasychającymi na policzkach.

W jej polu widzenia pojawił się Arek. Nie słyszała klucza przekręcanego w zamku ani tego, jak wchodził. Stał teraz przed nią, w granatowym za dużym już garniturze (od zaginięcia Ady zdążył schudnąć o dwa rozmiary), z czarną teczką w dłoni. Zastanawiała się, jak długo jest w mieszkaniu, ile już na nią patrzy. Zrobiło się jej nagle nieprzyjemnie. Po plecach przeszedł dreszcz. Postanowiła jednak udawać, że dalej go nie zauważa. Bała się, że rozmowa, jakakolwiek interakcja będzie ponad jej siły.

– Dzwonił ktoś? – usłyszała jego głos. Płynął jakby z oddali.

– Nie... – odpowiedziała i nagle się przestraszyła, że to nieprawda. Być może ktoś próbował się z nią połączyć, a ona, tkwiąc w stuporze, nie usłyszała. Sięgnęła gwałtownie po telefon, zrzucając przy tym z siebie fioletowy kocyk. Nacisnęła przycisk, ekran był jednak czarny. Zrobiła to po raz kolejny i jeszcze raz, a potem zaczęła potrząsać gwałtownie aparatem w górę i w dół.

– Co robisz? – zapytał Arek.

Wyładował się, pomyślała i ogarnęła ją panika. Do oczu nabięły łzy. Może ją znaleźli, może czekała na nią, pytała o to, gdzie jest mamusia, kiedy po nią przyjedzie, jak wtedy, dawno temu w przedszkolu, kiedy spóźnili się o dwie godziny z odbiorem dziecka, a Ada została sama tylko z jedną przedszkolanką i przez ten czas ciągle płakała, jej twarz była cała czerwona, ale tak mocno i wyraźnie, i Kamila przestraszyła się, że już tak zostanie, że policzki małej zawsze będą pokryte szkarłatnym rumieńcem, tatuszem z popękanych naczynek krwionośnych, a oczy wiecznie opuchnięte, podobne do dwóch baloników.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam... – powtarzała, biegnąc do sypialni.

Arek w ostatniej chwili uskoczył jej z drogi, a potem poszedł za nią i obserwował, jak z szuflady biurka po kolei wyrzuca sterety dokumentów, niepotrzebne nikomu kable, popsute słuchawki,

myszki od komputera, a cały ten huragan przedmiotów, śmieci, które zbierały się przez lata, ląduje z trzaskiem na podłodze.

– Gdzie to jest... gdzie to jest... gdzie to jest...

– Czego szukasz? – zapytał.

– Ładowarki! Widzisz, że szukam ładowarki! Ładowarki! Gdzie ona jest?! – krzyczała, a jej głos musiał przebić się przez ściśnięte z przerażenia gardło i usta zalane śliną.

Dzwonili do niej, dzwoniли, a ona nie odebrała. Nie zauważyła, że dzwoniли. Jej dziewczynka, jej ukochane dziecko. Znalazło się, było, ale teraz znowu zniknęło. Zniknęło, rozpułnęło się w powietrzu, bo ona nie odebrała telefonu.

– Leży przecież na blacie – powiedział Arek.

Wyprostowała się. Rzeczywiście, na biurku obok nocnej lampki leżał biały prostokąt z kablem. Podłączyła ładowarkę do prądu. Raz po raz naciskała przycisk, który miał ją uruchomić.

– Musisz poczekać, aż się podładuje.

Spojrzała na niego z taką nienawiścią, że gdyby miał choć trochę przyzwoitości, chociaż ułamek, to natychmiast by umarł.

Po kilkunastu sekundach ekran zamigotał. Wklepała PIN, a potem czekała, aż komórka się uruchomi i zaloguje do sieci.

– I co? – zapytał.

– Nic – odparła głucho.

Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych wiadomości. Miała ochotę rzucić telefonem o ścianę, ale zabrakło jej sił. Po prostu wypuściła go z ręki i pozwoliła, żeby upadł na łóżko. Wróciła na swój fotel.

– Gdzie jest Ignasz?

W pierwszej chwili nie potrafiła odpowiedzieć. Musiała się mocno skupić, by zrozumieć to, co powiedział.

– U pani Oli.

– Co takiego?! Przecież jest już prawie szósta! Miałaś go odebrać koło czwartej!

– Sam mówiłeś, że mu tam dobrze.

Opuścił mieszkanie bez słowa.

Wrócił z Ignasiem po około czterdziestu minutach. Gawędził z synem, udając, że jest w świetnym nastroju. Ale zbyt dobrze znała jego głos, by nie usłyszeć tych chrapliwych, drżących nutek, które zawsze zdradzały jego zdenerwowanie i irytację.

– Mama! – krzyknął Ignacy, kiedy ją zobaczył.

Podbiegł do niej, nie zdejmując butów, i wtulił się w jej kolana. Nie wykonała żadnego ruchu. Nie próbowała oddać uścisku, podnieść go i przytulić. Nawet go nie pocałowała. Wiedziała, że jest złą matką, że w przyszłości przyjdzie jej za to sporo zapłacić, że będzie wyrzucać sobie swoje zachowanie, ale nic nie mogła na to poradzić. Od zaginięcia Ady jej mały synek coraz mniej ją obchodził. Nie potrafiła się zmusić do czułości. Patrzyła na niego z obojętnością. I chociaż za każdym razem szukała w swoim sercu skrawków dawnej miłości, którą do niego czuła, nie potrafiła nic znaleźć. Teraz nawet udawanie kiepsko jej wychodziło.

– Mama jest zmęczona – powiedział Arek. – Chodź, Ignas, pobawimy się klockami.

– Klocki!

Pobiegł za ojcem. Po chwili usłyszała radosny okrzyk, kiedy wysypali na podłogę dupło z wielkiego kartonowego pudła. Bawili się tak przez około pół godziny. Potem grzecznie posprząтали. Arek posadził Ignasia na kanapie. Włączył mu bajki, a sam poszedł robić kolację. Dla małego parówki, jego ulubione danie od jakiegoś czasu, dla nich kanapki. Żadnej nie tknęła. Od zaginięcia Ady unikała wspólnych posiłków. Nie wiedziała, jak się zachować, siedząc przy stole i wpatrując się w puste miejsce, które kiedyś zajmowała córka. Do tej pory zdobyła się na to tylko trzy razy. Za pierwszym przeknęła łyżkę zupy i zaraz pobiegła do łazienki wymiotować. Za drugim rozplakała się w połowie posiłku i zwała się z krzesła

na podłogę. Leżała tam, szlochając przez kolejne dziesięć minut, podczas gdy Arek robił wszystko, by ją podnieść.

– Wstawaj – mówił do niej. – Do cholery, Ignas wszystko widzi. Wstawaj. Możesz płakać, ale przenieś się chociaż do sypialni! Idź gdzieś, gdzie nie będzie cię widział!

Trzeciego razu prawie nie pamiętała. Ale pewnie też nie poszło za dobrze, bo mąż nie namawiał jej więcej na wspólne posiłki.

Arek zmienił garnitur na wygodniejsze ciuchy. Wykąpał chłopaka. Przyniósł go do niej zawiniętego w ręcznik.

– Ignas chciał ci dać buziaka na dobranoc – powiedział.

Nachylili się ku niej i poczuła mokry pocałunek na czubku głowy. Pomyślała, że to obrzydliwe i natychmiast się zawstydzila. Chciała się schować. Obaj zniknęli w pokoju chłopca. Usłyszała, jak Arek coś mu czyta, ale nie potrafiła rozpoznać co. Zresztą zupełnie jej nie zależało. W pewnym momencie jego głos ucichł. Siedział jeszcze trochę u syna.

Pojawił się przy niej po kwadransie. Spojrzał ciężko na stojący nieopodal talerz.

– Znowu nic nie zjadłaś – stwierdził.

Nie odpowiedziała, więc wziął talerz i zaniósł do kuchni. Wrócił. Usiadł na kanapie. Trwali tak przez długie minuty w milczeniu i można by pomyśleć, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Może w jakimś sensie była to prawda. Nie tylko Ada zaginęła w te wakacje, pomyślała Kamila. Cała ich rodzina jakby zniknęła.

– Powinnaś gdzieś wyjść – odezwał się w końcu.

– Niby gdzie?

– Gdzieś.

Wtuliła się mocniej w koc. Zamknęła oczy. Chciała zasnąć. Była strasznie zmęczona, chociaż przez cały dzień ledwo kilka razy zwlekła się z tego fotela.

– Może na spotkanie z koleżankami?

Mimo woli prychnęła. Już sobie to wyobrażała. Jej koleżanki. Wydekoltowane, wymalowane, z kolorowymi drinkami, a pomiędzy nimi ona, w wymiętym dresie, z twarzą opuchniętą od płaczu i włosami, które domagały się mycia. Ucieszny byłby to widok. Strzelałyby sobie selfika za selfikiem.

– Albo wróć do pracy.

– Po co?

– Żeby po prostu stąd wyjść. Nie możesz spędzić reszty życia, siedząc w tym fotelu.

– Może mogę.

Westchnął, co sprawiło, że miała ochotę go uderzyć. Nie spoliczkować, jak to zazwyczaj robią dziewczyny na filmach, ale przyłożyć pięścią po chłopacku. Zobaczyć jego krew na swoich kłykciach i opuchniętą wargę.

– Idź sobie – wyszeptwała.

– Słucham?

– Idź sobie – powtórzyła głośniejszym głosem. – Nie chcę cię oglądać. Nie wiem, idź do pracy czy coś takiego.

– Właśnie wróciłem z roboty – przypomniał, jakby cokolwiek ją to obchodziło.

Położył dłonie na jej kolanach i kucnął obok. Nie wiedziała, co powinna myśleć o tym dotyku. Z jednej strony był miły. Niósł jakieś nieokreślone, ale ciepłe wspomnienie, obrazy, których nie potrafiła uchwycić, ale które powstały w chwilach szczęścia. Z drugiej miała odruch, żeby go odepchnąć od siebie.

– Próbuję ci pomóc.

– Próbujesz mi pomóc? – powtórzyła z niedowierzaniem. – To nie mi powinieneś pomagać, ale Adzie. Oboje powinniśmy to robić.

– Ty znowu swoje...

– Popelniliśmy błąd, wracając do Warszawy. Nasze miejsce jest tam. Trzeba było zostać i szukać jej do skutku.

– Szukaliśmy! Nie tylko my, pamiętasz? Policja, strażacy, ochotnicy, media. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy!

– Gdyby tak naprawdę było, tobyśmy ją znaleźli.

Podniósł się gwałtownie.

– Tu jest nasz dom, Kamila.

– Nasz dom jest tam, gdzie są nasze dzieci – odpowiedziała.

Stał nad nią w milczeniu przez kilka minut. Ktoś na podwórku krzyknął głośno, a potem od ścian budynków odbił się echem dziecięcy śmiech.

– Po prostu staram ci się pomóc – rzucił, ale ton jego głosu świadczył, że już skapitulował, a ta rozmowa wkrótce się skończy. Znowu zostanie sama w fotelu, otoczona ciszą, z kubkiem zimnej herbaty w dłoni.

Cieszyła się na tę chwilę.